

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

Kwartalnik



Nr 1(13)

WARSZAWA

1955

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY I UTWORY LITERACKIE

Witold Jabłoński, <i>V rocznica proklamowania Chińskiej Republiki Ludowej</i>	3
Łukasz Hirszowicz, <i>Tło zamachu stanu w Iranie w sierpniu 1953 r. (I)</i>	10
*	
Ananiasz Zajączkowski, <i>Na Międzynarodowym Kongresie Orientalistów w Cambridge</i>	26
Witold Jabłoński, <i>XXIII Międzynarodowy Kongres Orientalistów w Cambridge</i>	37
Stefan Strelcyn, <i>Na marginesie XIII Zjazdu Orientalistów Polskich</i>	43
*	
Amen-aa, <i>Rozbitek</i> (przełożył z egipskiego Tadeusz Andrzejewski)	58
Mencjusz, <i>Fragmenty z dzieła „Meng-tsy“</i> (przełożył z chińskiego Aleksy Dębnicki)	63
Yamanoe-no omi Okura, <i>Dialog o nędzy</i> (przełożył z japońskiego Wiesław Kotański)	69
Szems-ed-Din Hafiz Szirazi, <i>Gazele</i> (przełożył z perskiego Ananiasz Zajączkowski)	73
Ömer Seyfettin, <i>Zakęcie</i> (przełożyła z tureckiego Stanisława Płaskowicka-Rymkiewicz)	77
Kuo Mo-žo, <i>Tukiafu</i> (przełożyła z chińskiego Halina Smisniewicz-Andrzejewska)	83

Z PRACOWNI REKOPISÓW ORIENTALNYCH

Franciszek Kupfer, <i>Dokument hebrajski dotyczący stosunków kościelnych w XVII wieku.</i>	95
--	----

MATERIAŁY I NOTATKI

Aleksy Dębnicki, <i>Wieczór literatury chińskiej</i>	100
B. Majewska, <i>Nowe polonica irańskie</i>	104
*	
O współczesnej literaturze Wschodu:	
A. D., <i>O nowej literaturze arabskiej</i>	105
E. M., <i>O zagadnieniach nowoczesnej literatury perskiej</i>	108

RECENZJE

Jan Reychman, <i>N. A. Smirnow, Oczerki izuczenija islama w SSSR</i>	109
Stanisław Kałużyński, <i>S. P. Tołstow, Śladami cywilizacji Starożytnego Chorezmu</i>	112
Witold Jabłoński, <i>Jarostaw Průšek, Literatura osvobožené Činy a jej lidove tradice</i>	114
Stanisław Kałużyński, <i>S. E. Małow, Ujgurskij jazyk</i>	118
<i>P. P. Iwanow, Chozjajstwo Dżujbarskich szejchow</i>	118
<i>Rasskazy tureckich pisatielej</i>	119
Włodzimierz Zajączkowski, <i>I. J. Kraczkowskij, Morskaja geografia w XV—XVI wiekach u arabow i turok</i>	119
<i>Tursko-bołgarskij recznik</i>	120
Stanisława Płaskowicka, <i>N. Lwow, Kirgizskij teatr. Oczerk istorii</i>	121
Franciszek Machalski, <i>M. A. Macciocchi, Iran walczy</i>	125

T U K I A F U

Smutno nam było, gdy rankiem 3 sierpnia w trzy dni po rewolucji opuszczaliśmy wraz z I-mengiem Luszan po pierwszej — od dawna — nocy wypoczynku, spędzonej w opustoszałym mieście. Fakt, że w samym środku lata, najwspanialszej porze wakacji, Luszan, niezrównane jako miejscowość letniskowa, było wyludnione — mógłby wywołać zdziwienie. Lecz człowiek znający sytuację, nie mógł się dziwić.

Był to czas rozłamu w ruchu rewolucyjnym. Czang Kai-szek zdradził rewolucję, porozumiał się w Nankinie z elementami rodzimego feudalizmu i powstał przeciwko tak zwanemu czerwonemu rządowi wuhańskiemu. Do jakiego jednak stopnia „czerwony rząd“ był rzeczywiście czerwony? W ciągu pięciu czy sześciu miesięcy toczył on w Honanie walki z Czang Tso-linem, i chociaż odnosił zwycięstwa, ofiar było bardzo dużo. Dołączona doń armia północno-zachodnia, głosząca ideę ugody z Nankinem, do tego stopnia oddziaływała na wewnętrzne siły reakcyjne, dotychczas utajone, że zaczęły podnosić głowę zmuszając do powolnego przyjmowania prawicowych tendencji reprezentowanych przez takie kreatury jak Wang Tsing-wei i Sun K'o; rozwiązano milicję chińskich związków zawodowych, a nawet i same związki zawodowe i stowarzyszenia chłopów, tak, że w rezultacie sami członkowie rządu byli zagrożeni.

Jedyną siłą zbrojną, na której opierał się rząd Wuhanu, była Czwarta Armia, dowodzona przez Czang Fa-kueia, w skład której wchodziła pierwotna Czwarta i Jedenasta Armia oraz dwie dywizje Ho Lunga i dwie dywizje Je Tinga; przedstawiała się więc ona poważnie. Istniały tedy realne możliwości utrzymania Wuczangu i zaciętej walki z siłami reakcji, reprezentowanej przez T'ang Szeng-czy, Ho-kiena i innych. Ale z powodu blokady dolnego biegu Jangtsekiangu, egoizmu i nieudolności Wang Tsing-weia, a ponadto tendencji Czang Fa-kueia do zachowania nienaruszonej armii, ostatecznie wycofano się ewakuując rząd i wojsko wzdłuż linii kolejowej Nanczang-Kiukiang.

Czang Fa-kuei robił to pod płaszczykiem niezmiernie szlachetnego zamierzenia — walki na wschodzie z nankińskim rządem Czang Kai-szeka. W rzeczywistości jednak politycy mieli tajne kontakty z Nankinem i planowali połączenie Nankinu i Wuhanu. Wojskowi, a szczególnie Czang Fa-kuei, biorący w opiekę niedołęznego A - T o u, także o tym marzyli w głębi serca. Gdy Czang Fa-kuei zajmował tereny wzdłuż linii kolejowej Nanczang - Kiukiang sam w szczerzej rozmowie ze mną powiedział, że „idąc naprzód zachowuje możliwość rokowań, cofając się traci wszelkie szanse“.

Ale dokąd chciał się cofać? Do Kantonu? Zamienić „marsz na północ“ w „powrót na południe“?

Tak przedstawiały się warunki rewolucji. Prawdziwa — aczkolwiek jeszcze w załężku — rewolucja, obrała nowy kierunek rozwojowy, zniszczyła ten owoc nadgniły już lub gnijący i wypuściła nowe korzenie — taki był sens rewolucji 1 sierpnia dokonanej w Nanczangu. Główną siłą biorącą udział w tej rewolucji były cztery dywizje Ho Lunga i Je Tinga. Dołączyli się też do nich później weterani z XI Armii. W ten sposób więc z armii Czang Fa-kueia niewiele co pozostało.

Tak więc wyludnienie Luszanu, niezrównanego jako miejscowość letniskowa, było zrozumiałe.

W tym czasie byłem przedstawicielem Partii w Czwartej Armii i co za tym idzie jednocześnie kierowałem wydziałem politycznym. Przenieśliśmy się za wojskiem do Kiukiangu, stacjonowaliśmy w szkole misyjnej, pustej już z powodu wakacji.

Porozumiałem się telefonicznie z Czang Fa-kueiem. Życzył sobie, bym natychmiast stawił się u niego w komendzie, by rozważyć sposoby naprawienia sytuacji. Przyszedłszy, zastałem go w pokoju na piętrze domu z dwóch stron otoczonego ogrodem. Wnętrze było zdemolowane: oprócz Czang Fa-kueia w pokoju znajdowało się jeszcze dwóch nowomianowanych oficerów, H u a n g K i n g - j u i C z u H u e i - ż y. Dopiero przed chwilą otrzymali wiadomości o rewolucji 1 sierpnia, twarze ich mieniły się to radością, to przygnębieniem.

Czang Fa-kuei omawiał ze mną sprawę rządu lokalnego, proponował rozwiązać go, zgodziłem się z nim. Była to logika rewolucji — wiadano powszechnie, że wszystko w rządzie robili komuniści, oni też wznieśli rewolucję 1 sierpnia i wszyscy działacze polityczni powinni iść razem z nimi.

Wydział polityczny armii, choć powstał niedawno, jednak obrał sobie tę samą drogę co ja, różną od drogi wydziału politycznego. Zgromadził on najlepsze siły w ludziach i sprzęcie, samych mułów mieliśmy czterdzieści do pięćdziesięciu; przed dwudziestu laty stanowiło to luksus dla

armii, a cóż dopiero dla wydziału politycznego. Ponieważ i tak nie mogliśmy tego wszystkiego zabrać, wspaniałomyślnie oddaliśmy to armii, ale w zamian uzyskaliśmy to, że wszyscy będą się mogli rozejść bez przeszkód.

Z Czang Fa-kueiem łączyły mnie dość przyjacielskie stosunki, w czasie „marszu na północ“ dzieliliśmy dobry i zły los, a w czasie walk w Honanie, jako zastępca kierownika wydziału politycznego, udałem się na front, aby go podnosić na duchu. W Sinczeng odbyliśmy szczerą rozmowę. Zdawaliśmy sobie sprawę z naszych błędów, rozumieliśmy, że trzeba przełamać konszachty Nankinu zanim zostaną uwieńczone powodzeniem, że trzeba najpierw wypowiedzieć walkę Czang Kai-szekowi a dopiero potem Czang Tso-linowi. W tym czasie Fa-kuei cenił moje zdanie i nazywał mnie towarzyszem.

Toteż gdy po powrocie do Wuhanu mianowano go liniowym dowódcą Czwartej Armii, prosił mnie, bym został przedstawicielem partii u niego. Lecz z chwilą, gdy przyjąłem tę funkcję, z towarzyszy, których łączyła wspólna droga, staliśmy się ludźmi „połączonymi twarzami a rozdzielonymi sercem“. Gdy przedstawiałem mu jakieś poglądy, każde słowo jego odpowiedzi było sloganem, opinią książkową albo zgoła papierową gadaniną. W rezultacie nasza przyjaźń skończyła się, przestaliśmy być „połączeni twarzą a rozdzieleni sercem“ — drogi nasze zupełnie się rozeszły.

Skoro powzięliśmy wspólną decyzję rozwiązania rządu, zainteresował się mymi osobistymi sprawami, spytał, co mam zamiar robić. Odparłem, że chciałbym udać się do Nanczangu, on jednak liczył, że będę mógł mu towarzyszyć. Powiedział, że sam chce na japońskim statku przekraść się do Szanghaju, a stamtąd wyjechać do Japonii. Armię przekaze Huang Tsi-ju i Czu Tsi-ży z rozkazem powrotu do Kuangtungu. Sądził, że zechcę mu pomóc. Liczył na moje studia w Japonii i znajomość japońskiego, na to, że mógłbym pełnić funkcje jego sekretarza osobistego. Odmówiłem mu jednak stanowczo. Mogłem mu być tylko wdzięczny, bo chociaż obstawałem silnie przy zamiarze udania się do Nanczangu, on nie stawiał mi żadnych przeszkód, a nawet mi trochę pomógł.

— Jeżeli chce pan się udać do Nanczangu — powiedział — radzę zrobić to dzisiaj wieczorem. Potem zostaną wydane surowe rozkazy, hasło i odzew podane dziś wieczorem nie będą już jutro gwarancją bezpieczeństwa.

Wyrażał również nadzieję, że zechcę przekazać w Nanczangu pewne jego polecenia:

— Po pierwsze, mam nadzieję, że oni bardzo szybko opuszczą Nanczang, tamtędy bowiem przejdą moje oddziały i w ten sposób unikniemy starcia.

— Po drugie, słyszałem, że oni mają zamiar wrócić do Kuangtungu, mam nadzieję, że pójdą przez Tungkiang, nie zaś przez Czangkan, które będą maszerowały moje oddziały wracając do Kuangtungu, i w ten sposób unikniemy starcia.

— Po trzecie, woda rzeczna nie może szkodzić wodzie studziennej, my sobie wzajemnie nie będziemy przeszkadzać, mam nadzieję, że Komitet Rewolucyjny nie posłuży się po raz drugi moją osobą jako marionetką.

— Po czwarte, działacze politycznych wypuszczę co do jednego według wszelkich reguł grzeczności, mam nadzieję, że oni nie zrobią krzywdy moim ludziom.

Prosiłem, by dać mi to na piśmie. Ociągając się bardzo wziął ołówek i wypisał swoje żądania na kartce, którą miał pod ręką, nie chciał jej jednak podpisać. Niemniej jednak było to jego własnoręczne pismo, mimo że napisane ołówkiem i bez podpisu.

Równie łatwo jest rozwiązać organizację jak stłuc naczynie. Nie upłynęło pół dnia, a lokalny rząd wojenny oraz wszyscy pozostający w Kiu-kiangu jego działacze rozproszyli się. Tylko czterej ludzie tego wieczoru postanowili przedzierać się wspólnie do Nanczangu.

Kim byli ci czterej ludzie?

Byli to Li I-meng, J a n g H a n - s z e n g, M e i K u n g - p i n i j a. I-meng pełnił obowiązki pierwszego sekretarza wydziału politycznego. Hang-szeng i Kung-pin należeli prawdopodobnie do wydziałów politycznych Czwartej i Jedenastej Armii. Nie pamiętam jednak dokładnie jakie zajmowali stanowiska. Zebraliśmy się o szóstej po południu; oprócz nas było jeszcze dwóch żołnierzy, z których jeden był ordynansem I-menga, drugi moim. Nazwisk tych żołnierzy nie mogłem sobie przypomnieć.

Obowiązywało wówczas bardzo surowe prawo wojenne. O szóstej na ulicy było już bardzo mało przechodniów, nie mówiąc już o pojazdach. Co kilkadziesiąt kroków stały patrole, żołnierze mieli bagnety nałożone na karabiny, jakby w oczekiwaniu wroga. Byliśmy ubrani po dawnemu w mundury, nie ściemniło się jeszcze zupełnie, mogliśmy więc iść bez przeszkód. Dzień był wyjątkowo ciemny, zanim doszliśmy do stacji zapadł już zupełny zmrok. Okrzyki „hasło“ i „odzew“ jeszcze dodawały grozy.

W jednej z uliczek w pobliżu stacji ordynans, który niósł moją walizkę i torbę skórzaną nagle złożył ten bagaż na ziemi, podbiegł do mnie i ze łzami w oczach uklęknął przede mną.

Zdumieni spytaliśmy go, co to ma znaczyć. Z płaczem powiedział: „Proszę mi wybaczyć, ale mam w domu matkę, osiemdziesięcioletnią staruszkę“. Żołnierz ten pochodził z Hupei, przyszedł ze mną z Wuhanu,

wyglądał na dzielnego, nie przypuszczałem, że może być aż tak tchórzliwy. Niewątpliwie myślał, że idziemy na pewną śmierć, że on też będzie musiał zginąć. Głupiec! Nie mógł wcześniej powiedzieć! Dziwiłem się, że oceniając go z pozorów nie potrafiliśmy się zawczasu na nim poznać.

Cóż było robić? Powiedziałem mu, żeby wracał, a nawet podarowałem mu walizkę. Sam wziąłem do ręki tylko torbę.

Ludziom ze stacji winni jesteśmy prawdziwą wdzięczność, zwłaszcza towarzyszom pracującym na kolei. Komunikacja kolejowa była już przerwana, mówiono, że został wysadzony most znajdujący się na południe od Tukiafu. W Kiukiangu pozostały tylko dwie lokomotywy, inne zatrzymano w Nanczangu. Jechać można było tylko drezyną, ale i tak nie mieliśmy gwarancji dotarcia do celu.

Kolejarze odradzali nam jazdę, uważali, że jest bardzo niebezpieczna.

— Chodzą takie plotki mówili, że nie wiadomo, czy w Nanczangu znów nie toczą się walki.

My jednak stanowczo obstawaliśmy przy tym, żeby jechać, poprosiliśmy o przygotowanie drezyn. Zgodzili się.

W czasie „marszu na północ“ kolejarze stworzyli świetną organizację: znali nasze dzieje, z wielką chęcią zgłosili swą pomoc i zapragnęli odwiedzić nas do Nanczangu. Drezyna była drewnianym kwadratowym wózkiem, na czterech kołach, na wierzchu znajdowała się poprzecznie umieszczona długa ławka z wysoką poręczą, mogło tu usiąść trzech ludzi. Kolejarze stali z tyłu oparci o ławkę, nacisnęli pedały i drezyna ruszyła.

Razem z bagażami zajęliśmy dwie drezyny. Ja z I-mengiem i jego ordynansem jechaliśmy w jednej, Ju-szeng i Kung-pin w drugiej. Każdą poruszało dwóch ludzi; nie odczuwało się wielkiej różnicy w szybkości w porównaniu z biegiem pociągu.

Noc była ciemna, bez gwiazd i księżyca. Oprócz lamp elektrycznych stacji, z której wyruszyliśmy, w czasie drogi wśród ciemnej gęstwiny zarośli z rzadka tylko błyskały światełka chłopskich chat. Były one jakieś dobre i przyjazne, jak oczy kogoś bliskiego. Wszędzie wzdłuż drogi stały warty; co jakiś czas rozlegały się wołania „hasło“ i „odzew“ a ponadto dochodził odgłos strzałów.

Kolejarze już byli bardzo strudzeni. Podzielili się na grupy, z których każda miała prowadzić drezynę dwadzieścia do trzydziestu minut, po czym zastępowała ją inna grupa. Wówczas — wcale niekoniecznie musiała to być stacja — kolejarze zatrzymywali drezynę i wystarczyło krzyknąć w ciemność, a w odpowiedzi rozlegały się głosy: to ludzie z lampami w rękach przychodzili na zmianę. Usłyszawszy nasze dzieje nowo przybyli z całą odwagą godzili się wieść nas dalej. W ciągu drogi wymieniali się w ten sposób wielokrotnie. Podczas głębokiej nocy, kiedy po-

winno się spać, wykonywali nadobowiązkową pracę i nie usłyszeliśmy od nich ani jednego słowa niezadowolenia. Doprawdy, zasłużyli sobie na wdzięczność z naszej strony.

Bez przerwy posuwaliśmy się naprzód, to prując łagodne powietrze nocy, to znów jadąc pod wiatr i odczuwając przenikliwe zimno.

Gdy dojeżdżaliśmy do Teanu przeszło już pół nocy, zbliżała się godzina pierwsza. Peron dworca wzdłuż i wszerz zavalony był skrzyniami towarów, zapewne ktoś musiał tego pilnować. Żołnierze z peronu, mimo iż otrzymali odzew, stanowczo żądali zatrzymania drezyny, nie pozwalając nam jechać dalej. Niebawem nadszedł jakiś mały, zwinny człowieczek. Z pierwszego rzutu oka wiedzieliśmy, że to Kantończyk. Warta zasalutowała mu, tytułując go kapitanem.

— Jestem przedstawicielem partii — odezwałem się do niego — otrzymałem polecenie dowódcy, w bardzo pilnej sprawie muszę się jak najśpieszniej dostać do Nanczangu.

Odpowiedział z obojętnym wyrazem twarzy, mieszając wiele słów kantońskich.

— Mowy nie ma! Nawet dowódcy byśmy nie puścili. Trzeba mieć najpierw pozwolenie komendanta.

— Czy komendant jest na stacji?

— Nie. Jest w Teanie.

— Czy dziś w nocy można go zawiadomić?

— Nie można. Jutro rano pójdę z wami.

Nie wstydząc się zupełnie, że jest podręcznym oficera „żelaznej armii“, stanowczo wypowiedział tych kilka zdań i samotnie udał się na stację.

Wśród żołnierzy było również kilku mówiących dialektem Syczuanu, jeden z nich współczując nam i uspokajając nas powiedział:

— Tean jest ostatnią linią obronną frontu, nie łatwo stąd się wydostać. Zapewne o dziesięć li dalej można natknąć się na patrol. Jeżeli, przypuścimy, wydostaniecie się stąd, to tam znowu nie będziecie mogli przejść.

— Jak się nazywa wasz komendant?

— C z a n g. Tak samo jak dowódca.

Cholera. Zaczynam podejrzewać, że z tym Czangiem jeszcze trudniej się dogadać niż z tamtym. Obawiam się, że Czang Fa-kuei złapał nas w pułapkę. W oczy udał ludzkie uczucia, a za plecami przygotował zasadzkę, by uniemożliwić wydostanie się stamtąd. Ale cóż było robić? Jechać dalej nie można, zdaje się, że naprawdę i samego dowódcy też by nie przepuszczono. Postanowiliśmy spędzić zatem noc na stacji. Kolejarze okazali się prawdziwymi przyjaciółmi, chcieli byśmy poszli z nimi szu-

kać jakiegoś noclegu, podziękowaliśmy im jednak. We czterech z ordynansem przedrzemaliśmy pół nocy w dreźnie.

Tean oddalone od stacji pięć do sześciu li, leżało na wschód od linii kolejowej. Nazajutrz mniej więcej o ósmej godzinie wybraliśmy się do kantońskiego komendanta, by otrzymać jego pozwolenie. Ordynansa zostawiliśmy na dworcu, każąc mu pilnować rzeczy, i we czterech udaliśmy się do komendy.

Komendant stacji nie towarzyszył nam osobiście, lecz wysłał dwóch żołnierzy, którzy konwojowali nas z bagnetami nałożonymi na karabiny. Byliśmy pewni, że musiał porozumieć się przez ten czas z kantońskim komendantem przez telefon i otrzymał zapewne tego rodzaju rozkaz. Zgodnie z regulaminem wojskowym przedstawiciel Partii równał się rangą głównodowodzącemu i sprawował kontrolę nad wojskiem. Według protokołu komendant powinien był sam wyjść na stację na powitanie. Ale teraz, gdy nastąpił rozłam wewnętrzny, przedstawiciel Partii w rzeczywistości równał się prostemu komuniście, a zatem najstosowniej było wysłać dwóch uzbrojonych żołnierzy dla eskorty.

Dzień był piękny, szliśmy do Tean przez zalane słońcem pola słodkich bulw.

Kwatera komendanta mieściła się w gmachu szkoły. Żołnierze wprowadzili nas do klasy, która służyła komendantowi za biuro a jednocześnie sypialnię. Teraz leżał on na łóżku polowym ustawionym pod tablicą. Ujrzawszy nas usiłował się podnieść. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że jest ciężko chory. Prosiliśmy, by się nie krepował, on jednak podniósł się do pozycji półleżącej, a nam wskazał miejsca na najbliższej ławce.

Pochodzi z Kuangtungu. Mówił, że zaraził się febrą. Jego wygląd to potwierdzał: twarz miał wychudłą i szerniałą. Sądziłem, że musi mnie znać, ale ja go sobie nie przypominałem.

Wyłuszczyłem mu o co chodzi, oraz pokazałem mu pismo Czang Fa-kueia.

To ważna i poufna sprawa — powiedziałem — dlatego właśnie pisał ołówkiem i bez podpisu. Zapewne jednak poznaje pan charakter pisma dowódcy.

Komendant nie robił trudności, wyraził tylko obawę, że nie łatwo będzie nam dotrzeć do Nanczangu, słyszał bowiem, że szyny kolejowe są wysadzone w kilku miejscach, nie ma więc mowy o jeździe pociągiem, ale jednocześnie rozkazał jednemu z oficerów swego sztabu, który znajdował się razem z nami w klasie, przygotować odpowiednią przepustkę. Napisał „zezwalamy na przepuszczenie czterech oficerów tych a tych oraz jednego

ordynansa". Otrzymaliśmy więc pozwolenie na podjęcie ostatniej, najtrudniejszej części drogi.

Po czym komendant szczerze dodał:

— Nikt z nas nie może pojąć dlaczego sami chcą walczyć ze swoimi?

Nie zrozumieliśmy dokładnie o co mu chodzi, więc nie odzywaliśmy się. Ja tylko powiedziałem:

— Na pewno nie zaczną walki, niech pan będzie spokojny. Czy w Komitecie Rewolucyjnym w Nanczangu nie ma Czang Fa-kueia? Oni występują tylko przeciwko Czang Kai-szekowi i Wang Tsing-weiowi, a nie przeciwko Czang Fa-kueiowi. Wszyscy mają nadzieję, że wrócą wkrótce do Kuangtungu, może jeszcze się tam spotkamy.

Tak więc pożegnaliśmy się i wróciliśmy tą samą drogą na stację. Byłem bardzo rad z własnej przezorności, okazanej w czasie rozmowy z Czang Fa-kueiem, gdy zażądałem, by spisał swoje polecenia, w przeciwnym razie nie uniknęlibyśmy komplikacji i nie wiadomo, czy nie narazilibyśmy się nagle na jakieś niebezpieczeństwo.

Przybywszy na stację, wsiedliśmy natychmiast do drezyny. Po ujechaniu jakichś dziesięciu li natknęliśmy się na patrol, który po sprawdzeniu przepustki nie robił nam żadnych trudności i pozwolił jechać dalej.

Co to była za radość! Gdy przejedziemy tę granicę, znajdziemy się na naszej własnej ziemi. Słońce świeciło jakoś szczególnie jasno, południowy wiatr powiewał jakoś szczególnie łagodnie, zieleń była jakoś szczególnie pociągająca. Dwa pasma szyn lśniły srebrzystym blaskiem, zdawało się, że specjalnie dla nas zostały ułożone. Szybko i bez przeszkód będą nas wiozły do radosnej ziemi rewolucji.

Towarzysze nasi zaczęli jechać bardzo prędko — z obu stron nieprzerwanie uciekały lasy i drzewa. Ziemia rozciągająca się przed oczyma była pełna życia, wszystko się śmiało, wszystko pędziło przy dźwiękach świszczącego wiatru.

Niekiedy dawaliśmy naszym towarzyszom wypocząć na ławce i wieźliśmy ich sami. Wszyscy byli swoi, o wszystkim można było mówić, nie musieliśmy uważać na słowa.

Drezyna, w której siedzieliśmy z I-mengiem, jechała pierwsza. Nie odczuwaliśmy szybkiego obrotu kół, nie czuliśmy też tego, że było to skutkiem wzmożonego ludzkiego wysiłku. Mknęliśmy coraz prędzej naprzód. Ju-szeng i Kung-pin jechali w drugiej drezynie. Oni także od czasu do czasu pomagali swoim towarzyszom w robocie, jednak nie mogli nas dogonić, pozostawali daleko w tyle, aż wreszcie zniknęli nam z oczu.

Jazda w takiej drezynie jest bardzo wygodna. Już drugi raz podróżowałem w ten sposób, pierwszy raz jechałem z Sinjangu do Sinczengu,

aby dodać otuchy walczącym na froncie. Był wtedy początek czerwca, jujuby zaczynały właśnie kwitnąć, na równinie Honanu jest ich bardzo wiele. Drezyna przemykała się między zagajnikami jujubowymi, a wszędzie jak okiem sięgnąć widać było ich kwiaty wypełniające wszystko zapachem. Niezapomniane wrażenie.

Wspomnienia te były we mnie żywe, gdy dojeżdżaliśmy do Tukiafu i odezwałem się do I-menga, w mym głosie poprzez radość przebijało lekkie niezadowolenie.

— Krajobraz w Kiangsi jest monotony, taki sam, jak nad Jangtsekiangiem, ale mam nadzieję, że wydarzy się coś, co urozmaici trochę naszą wyprawę.

Na łatwej drodze nawet marzenia się spełniają.

Na stacji w Tukiafu doznałem przeżyć, które dziś jeszcze stoją mi przed oczyma.

Tukiafu jest dużą stacją na linii Nanczang-Kiukiang i ważnym punktem strategicznym, ponieważ otacza je pierścień wód i zarówno od południa, jak i północy pociąg musiał przejeżdżać po żelaznym moście.

Kiedy w czasie „marszu na północ“ toczono w Kiangsi walki z Sun Czuan-g-fangiem, rozmieścił on tutaj swoje najważniejsze oddziały i stworzył ośrodek kolejowy łączący Nanczang z Kukiangiem. Zdobycie Tukiafu kosztowało wtedy wiele wysiłków.

Kiedy przybyliśmy do Tukiafu, nie przestraszyły nas zniszczenia z okresu walk zeszłorocznych; prawdę mówiąc na stacji tych zniszczeń wcale nie widzieliśmy. Było tam jednak coś, co nas — w każdym razie mnie — przestraszyło. Na peronie ujrzeliśmy pociąg złożony z trzech wagonów pełnych żołnierzy. Dokoła tłoczyło się również wielu żołnierzy tylko częściowo umundurowanych. Lokomotywa zwrócona w stronę Kiukiangu buchała iskrami i dymem.

— Co to znaczy — zaniepokoiłem się — czyżby pociągi mogły już jeździć?

Wprawdzie nie dojechaliśmy jeszcze tam, gdzie miała nastąpić zmiana kolejarzy, chciałem jednak, by zatrzymano drezynę. Poszedłem poszukać zawiadowcy stacji. Stał właśnie na peronie, zapytałem go, co to za pociąg.

Mówił, że nie bardzo się orientuje, a pociąg przyjechał z Wusingu, musi nabrać wody i węgla i odejdzie do Kiukiangu.

— Przecież most jest wysadzony?

— Sądząc z tego, co się dzieje, chyba nie. Jakże inaczej mógłby był przejechać?

Sytuacja była jasna. Pomyślałem, że nie powinno się pozwolić, by ten pociąg odjechał do Kiukiangu. Jeżeli pojedzie tam, czyż nie zyskają oni dodatkowo lokomotywy i trzech wagonów? Ponadto istotnie mostu nie

zniszczono i każdej chwili można było zacząć transport wojsk. Powiedziałem więc zawiadowcy stacji, by nie wypuszczał pociągu.

Rozproszeni po peronie żołnierze przyglądali mi się, gdy rozmawiałem z zawiadowcą, niektórzy podeszli nawet blisko, kilku z nich nie miało odznak wojskowych, widocznie byli z oddziałów Teng Tsina i Cz u P e i - t e, rozbrojonych w Nanczangu. Zobaczywszy mój mundur zaczęli się domyślać, że jestem z tamtych stron. Niektórzy wołali na mnie „pułkownik“ i o coś mnie zapytywali. Mówili dialektem hunajskim, nie mogłem ich dokładnie zrozumieć.

Poszedłem do biura zawiadowcy stacji, żeby zatelefonować. Było bardzo gorąco, zdjąłem pas i kurtkę i złożyłem na łóżku, które tam stało. U paska od spodni miałem przewieszony browning.

Porozumiałem się telefonicznie ze stacją Wusing. Chciałem, by zawiadomiono Ho Lunga i Je Tinga w Nanczangu, że przybyłem do Tukiafu. Miałem nadzieję, że to zwróci ich uwagę na połączenie kolejowe, i że jeśli trzeba je będzie przerwać, zrobią to dokładnie.

W czasie, gdy telefonowałem, za oknem zebrało się kilku żołnierzy, przysłuchiwali się rozmowie, domyślili się oczywiście, jakie zajmuję stanowisko i kim jestem.

Telefon nie był wygodnym sposobem porozumienia się, więc wyszedłem, żeby poszukać I-menga, a potem jeszcze raz zadzwonić. Żołnierze doczekawszy się momentu, kiedy wyszedłem na peron, natychmiast otoczyli mnie gromadą. Od razu pojąłem grozę sytuacji. Mój browning był nabity, nie mogłem go jednak użyć do własnej obrony, lecz tylko strzec, by mi go ktoś nie odebrał. Oburącz mocno przytrzymywałem broń. Rzuciło się na mnie około dwudziestu żołnierzy, jedni wrzeszczeli, inni wygrażali w milczeniu, jeszcze inni usiłowali wyrwać mi browning, niektórzy wreszcie chcieli odebrać mi mój ręczny zegarek.

Okulary mi spadły, wieczne pióro zostało zrabowane, zegarek mi wydarto, a ja na śmierć i życie bronilem rewolweru. Ściągnęli mnie z peronu na tory. W momencie, gdy leżałem na szynach jeden z żołnierzy cisnął mi w pierś wielkim kamieniem, który znalazł pod ręką, na szczęście był to tylko duży kawał lekkiego żużlu.

Napastnicy chcieli mi przede wszystkim wyrwać rewolwer, wciągnęli mnie więc z powrotem na peron. Dwudziestu ludzi pochwyciło mnie i cisnęło na ziemię. W końcu pas pękł, jeden z nich złapał broń i trzymając ją oburącz zaczął wymachiwać nade mną. Teraz przejęło mnie gwałtowne zimno, trudny do opisanego chłód, przenikający do szpiku kości.

Różne wspomnienia ogarnęły mnie w tej chwili: gdy pół roku temu opuszczałem Kuangtung, szerzyła się tam cholera, wlokąc się szosą nan-

kińską widziałem wielu cywilnych i wojskowych umierających po obu stronach drogi — ja jednak nie umarłem.

30 sierpnia w czasie walk pod Wuczangiem razem z jednym z żołnierzy rzuciliśmy się do walki wręcz, Ki Tei-pu zginął za bramą Ping Jang — ja jednak nie zginąłem.

Było to już po zdradzie Czank Kai-szeka kiedy wydał on rozkaz aresztowania mnie, ja jednak otwarcie przybyłem do Nanczangu, więcej nawet, jechałem z członkami Oddziału Wojskowego pociągiem idącym z Su czou do Szanghaju — nie aresztowano mnie wtedy, nie zginąłem.

Kiedy angielskim statkiem wracałem z Szanghaju do Wuhanu pod Nankinem nagle natknąłem się na statek Sun Czuang-fanga. Ostrzeliwano się wzajemnie przez wodę, nie pozostawało nic innego do zrobienia jak tylko zatrzymać się na środku rzeki przez pięć dni. Wtedy jednak też nie zginąłem.

Ale nie przewidziałem tego, że dzisiaj przyjdzie mi umrzeć, umrzeć tutaj, w Tukiafu, z rąk tych rozbestwionych, rozbrojonych żołdaków.

Trzeźwa świadomość mówiła mi, że rewolwer nie wart był mego życia, ale dziwne, rewolwer ten nie kosztował mnie życia, a przeciwnie — uratował mi je. W momencie, gdy jeden z żołnierzy wyrwał mi go i uniósł wysoko, cała banda tych, którzy znęcali się nade mną, porzuciła mnie i popędziła, by wydrzeć mu zdobycz. Czy można było przepuścić taką okazję? Wykorzystałem ten moment i uratowałem życie, gdyż natychmiast wymknąłem się ze stacji i pobiegłem w kierunku domów robotniczych. Był tam szereg prostokątnych okien umieszczonych na wysokości piersi człowieka; wszystkie były otwarte. Oparłszy się na rękach przez jedno z nich wskoczyłem do wnętrza.

W pokoju wszędzie pod ścianami stały łóżka, na jednym z nich opartym o północną ścianę, siedziała kobieta w średnim wieku, tuląc do siebie uśpione dziecko. Przestraszyła się, opowiedziałem jej swe dzieje prosząc, by się zachowała cicho.

Wkrótce potem na dworze rozległ się gwizd, słychać było jak lokomotywa rusza. Zrozumiałem, że zawiadowca został zmuszony do wypuszczenia pociągu. Teraz jednak ja też w żaden sposób nie mogłem temu zapobiec.

Przeczekawszy aż wszystko ucichnie, powoli wyszedłem z robotniczego domku. Dziwne, przedtem potrafiłem wskoczyć przez takie wysokie okno, teraz zaś za każdym krokiem odczuwałem ból. Byłem radosny, ale i boleśnie poturbowany.

Przeszły złe chwile — na peronie zobaczyłem I-menga, Han-szenga i Kung-pina. I-meng też został pobity, zapędzono go do poczekalni i tam

powalono w ką, ale choć skopany, nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń.

Drezyna Han-szenga nadjechała później, zatrzymała się poza stacją, wtedy właśnie gdy mnie napadnięto. Han-szeng zdołał uniknąć niebezpieczeństwa, ponieważ poszedł na pole za małą potrzebą.

Kung-pina gonili żołnierze, lecz na szczęście, gdy rozległ się gwizd lokomotywy, rzucili się do pociągu.

A co z ordynansem? Przepadł bez śladu. Sprawa ta pozostawiła we mnie na zawsze jakiś ponury osad.

Kiedy na peronie zaczynano się nade mną pastwić, widziałem go w południowym krańcu peronu, chciał strzelać, by pośpieszyć mi z pomocą, ale otoczyła go inna grupa żołnierzy i nie wiem co się stało dalej. Ludzie ze stacji mówili, że wepchnięto go do pociągu. To było prawdopodobne. Ponieważ nie rozległ się ani jeden strzał i na całym peronie nie było widać śladu krwi, przypuszczenie, że wepchnięto go do pociągu, zdawało się uzasadnione. Ale jakie były jego dzieje, tego nie wiemy do dziś.

Nasz młody przyjaciel nie miał jeszcze chyba dwudziestu lat! Poprzednio pracował ze mną i z I-mengiem w Nanczangu; I-meng na pewno pamięta jego nazwisko i wie skąd pochodził, ja natomiast nie przypominam sobie tego. Pamiętam tylko, że nie był jeszcze zupełnie dorosły i mierzył mniej więcej jakieś pięć stóp. Twarz miał jak brzoskwinia, jędrną i zdrową. Dawał się lubić, łobuz. Od tej chwili do dziś nie wiemy nic o jego losach.

Czy zginął wtedy, czy jeszcze żyje? Jeśli zginął, stało się to — prawdę rzekłszy — wyłącznie przez moją lekkomyślność. A jeżeli chciał mnie ratować i odbezpieczając karabin zginął za mnie?

Wszystkie nasze bagaże były rozgrabione, najbardziej żałowałem pamiętnika, który pisałem w czasie Marszu na Północ, poza tym w mojej skórzanej torbie było jeszcze dwadzieścia siedem rewolwerów. Broń ta zamiast stać się bronią ludową, wpadła w ręce reakcjonistów.

W ten sposób jechałem po raz drugi drezyną. W Tukiafu doznaliśmy wrażeń, które nie łatwo zapomnieć, ale czy ich cena nie była jednak zbyt wielka?

Przełożyła z chińskiego
Halina Smisniewicz-Andrzejewska